



JANUSZ GRABOWSKI

Kapral Janusz Grabowski, 24 lata, leśnik, kawaler.

24 kwietnia 1940 r. zostaję wraz z dwoma moimi kolegami aresztowany w małej wiosce pod miastem Turka nad Stryjem. NKWD zarzuca mi, że w wiadomym mi zresztą celu chciałem przekroczyć granicę, będąc uzbrojony w nasz polski vis.

Po spisaniu protokołu zostaję odtransportowany do więzienia w Samborze. Na razie obchodzą się ze mną nieźle. Warunki życia wyglądały mniej więcej w ten sposób: cela, w której niegdyś były cztery osoby, teraz musi nas być najmniej ośmiu, a nieraz dochodzi i do 12, zależnie od tego, jak często odchodzą transporty w głąb Rosji.

Wyżywienie: 400 g chleba, w obiad zupa z kaszy, na drugie danie kasza, na wieczór kasza, tłuszczu nie widać lub nie ma zupełnie.

Po miesiącu odsyłają mnie i konfrontują ze stróżem kamienicy, w której mieszkałem. Ten stwierdza moje pochodzenie i wydaje o mnie opinię. Dalej odwożą mnie do Przemyśla i to samo odbywa się i tutaj. Stąd jadę z powrotem do Sambora. Cała naturalnie podróż odbywa się w tzw. więźniarce, wagonie specjalnie przystosowanym do przewożenia więźniów przez wstawienie w okna krat. W czasie drogi widzę dopiero złe nastawienie NKWD do Polaków: prosimy o wodę, którą widać w odległości dziesięciu metrów od wagonu. Nie tylko, że odmówiono nam, a w dodatku zostaliśmy zwymyślani ostatnimi wyrazami.

Śledztwo moje trwa nadal, jednak teraz inaczej wygląda. Chcąc mnie zmusić do przyznania się do rzeczy nigdy niepopętnionych, wykręcają palce, przykładają do skroni rewolwer.

W maju odbywa się mój sąd. Za stołem sędziowskim okrytym czerwonym płótnem zasiadają prokurator, sędzia, dwóch ławników i adwokat. Jestem sam jeden, nie mam nikogo, kto by

choć jedno słowo dobre o mnie powiedział. Obrońca milczy. W końcu po czterech godzinach zostaje mi odczytany wyrok, na mocy którego zostaję skazany na cztery lata wywiezienia do odległych obozów pracy oraz na pozbawienie praw obywatelskich na przeciąg lat pięciu. W czerwcu wyjeżdżam transportem z Sambora. Po kilku dniach podróży przekraczam granicę w Podwołoczyskach.

Od czerwca [1940] do stycznia 1941 r. wożą mnie po rozmaitych więzieniach. Wszędzie to samo – brud, wszy i brak odzieży. W styczniu przyjeżdżam do obozu pracy w Czerepowcu w pobliżu Leningradu. Mieszkamy w cerkwi, na robotę chodzimy osiem kilometrów. Wyżywienie fatalne: żeby dostać 900 g chleba i trzy razy dziennie wodę z kaszą, trzeba było wykopać dół głębokości dwa metry, szeroki jeden na jeden. Ziemia zamarznięta do głębokości 180 cm. Nikt normy nie wyrobił, bo to nie było w mocy ludzkiej.

Wszystko jednak ma swój koniec. 1 września 1941 r. zostaję zwolniony na mocy układu polsko-sowieckiego, a 19 września wstępuję w szeregi armii polskiej.